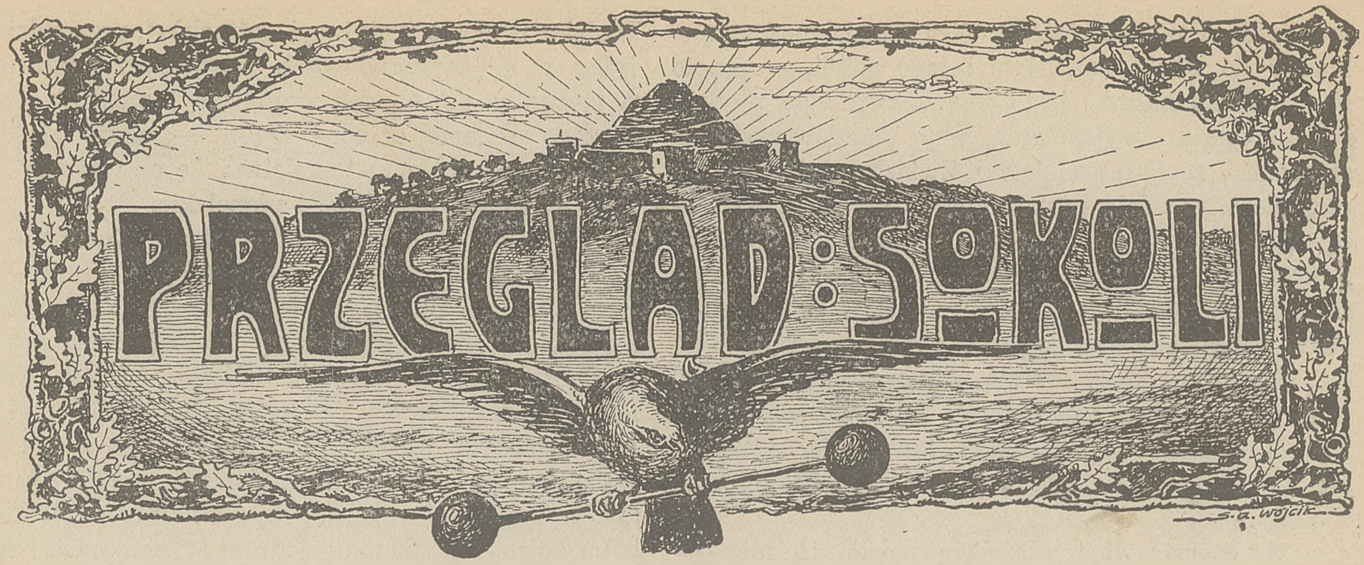
Nr. 8. Kraków, sierpień 1913. Rocznik V.



ORGAN OKRĘGU I (KRAKOWSKIEGO) POLSKICH TOW. GIMNASTYCZNYCH SOKOLICH

Wychodzi raz w miesiącu.

Prenumerata roczna 3 kor. Numer pojedynczy 30 hal. — Komunikaty handlowe: jednoszpaltowy wiersz 20 hal.
Redakcya i Administracya: Kraków, ul. Wolska L. 27 (Gmach Sokoła).

DO WSZYSTKICH KOMEND MIEJSCOWYCH S. D. S.

Jeżeli idea i nowy ustrój sokoli mają się coraz więcej rozwijać, to każdy z członków S. D. S. musi się coraz więcej zaznajamiać z każdym objawem bieżącej chwili i starać się wyszukiwać źródła dalszej nauki.

Jedyną drogą do tego jest — drukowane słowo.

„Przegląd Sokoli“ starać się będzie o notowanie wszystkich szczegółów nowego życia i drukowanie potrzebnych wskazówek już to wprost w numerach bieżących, już to w osobnych publikacyach. Gazeta nasza musi się zatem znaleźć bezwarunkowo w ręce każdego członka wszystkich gniazd I. Okręgu, a przedewszystkiem w ręce członków S. D. S.

W tym celu polecił Wydział I. Okręgu na posiedzeniu w dniu 15-go sierpnia 1913 r. wezwać wszystkie komendy miejscowe S. D. S. do zajęcia się obowiązkową prenumeratą „Przeglądu Sokolego“ dla każdego członka S. D. S. (poza liczbą egzemplarzy otrzymywaną z urzędu przez gniazdo) za minimalną opłatą 10 hal. od egzemplarza.

Przez to osiąga się dwa cele: „Przegląd Sokoli“ dotrze do każdego Sokoła i — zasili się fundusz prasowy, nie obarczając nikogo, z powodu maleńkiej opłaty (10 hal. miesięcznie).

Komendy miejscowe zechcą przeto natychmiast zastosować się do powyższej uchwały.

Redakcya.

NIEPOROZUMIENIE.

Ostatni doraźny Zlot sokolstwa we Lwowie w swej zmienionej militarnej postaci — uwieńczył prawdziwy i rzetelny sukces. Ożywcze pokrzepienie, jakie wywołał widok ośmiotysiącznego zorganizowanego hufca drużyn polowych — padło jak pęk jasnego światła na naszą pracę, oświetlając jej racyonalny cel i metodę i utwierdziło nas w naszem dalszem działaniu na przyszłość! Jak każde jednak większe przedsięwzięcie, tak i Zlot rzucił tu i ówdzie drobną smugę cienia — bo gdzie jest światło, tam i cień być musi, — którą ludzie sokolstwu nieprzychylni, lub dla niego obojętni, starali się powiększyć do rozmiarów prawdziwego „zaćmienia“, nie bacząc, że przecież i na słońcu są plamy.

Mam tu na myśli przykre nieporozumienie, wywołane sprawą „attachès“ komendy Drużyn strzeleckich, które przekręcone i powiększone przez szkło pewnego jakby złośliwego zamysłu, znalazło echo w prasie codziennej i rozrzucanym hojnie liście otwartym.

O cóż poszło? Oto komenda Drużyn strzeleckich zwróciła się do komendy Stałych Drużyn sokolich o dopuszczenie na Zlot jej dwu „attachès“ w randze poruczników — a komenda sokola rzekomo temu żądaniu odmówiła i to w sposób obelżywy. Tak się niby przedstawia nagi fakt. W sprawie tej powołany jest oczywiście Związek sokolstwa, względnie jego Wydział, czy też naczelna komenda do odpowiedzi, one też tylko mają prawo usprawiedliwiać się lub

wyjaśniać. Ponieważ jednak pisma codzienne zaapelowały do ogółu sokolstwa i jego opinii, — przeto obowiązkiem naszym jest dorzucić kilka słów prawdy i bezstronnego wyjaśnienia, aby przedewszystkiem stwierdzić, że Przewodnictwo Związku sokolego nie przyjęło wprawdzie propozycyi co do „attachès“ — oświadczyło jednak co następuje: „atoli przyjmiemy z chęcią dwóch delegatów Szanownej Komendy w charakterze widzów ćwiczeń polowych S. D. S. i możemy im w miarę możności przyznać pewne udogodnienia“ etc. Ustęp ten, który zresztą pisma, sprawę cytujące, stale pomijały, nie jest przecież odmową, czego dowodem, iż Drużyny strzeleckie, korzystając z powyższego pozwolenia, delegatów swych na Zlot faktycznie wysłały.

Na czemże więc właściwie polega to nieporozumienie, w którem biedny mały komar urósł do wielkości słonia. Prawdopodobnie na tem, że Przewodnictwo Związku zredagowało pierwszy ustęp swej odpowiedzi — powiedzmy prawdę, niezgrabnie i nieszczęśliwie — a Drużyny strzeleckie tę bałamutną stylizacyę jeszcze bałamutniej zainterpretowały. Przewodnictwo Związku — o ile to z treści jego enuncyacyi dobrze zrozumieć można — powiedziało jedynie, względnie chciało powiedzieć, że dotąd nie wprowadziło u siebie instytucyi „attachès“, przewidzianej tylko w międzynarodowych stosunkach militarnych w stosunku do obcych organizacyj wojskowych — z czego — mocą dziwnej logiki — ukuto złośliwie broń przeciw całemu Sokolstwu, że ono uważa Drużyny strzeleckie ze obce i niepolskie.

I tu dopiero bezstronność każe stwierdzić, że jeśli był błąd, czy tylko uchybienie w formie — to było ono conajmniej obopólne. Bo jeśli uchybieniem była niedołężna i powiedzmy wprost niezrozumiale ujęta stylizacya odpowiedzi Związku, to błąd Drużyn leży w rozmyślnem jej przekręceniu, niedomówieniu i skwapliwem wyzyskaniu tego momentu dla tem większego rozbicia współdziałania i współpracy polskich organizacyj wojskowych, o którem się tyle mówi, a na co my, przynajmniej tutaj w Krakowie, zapatrujemy się szczerze i z całą przychylnością, wynikającą ze zrozumienia całości dążeń militarnych naszego społeczeństwa. Wystarczy zresztą powołać się choćby na autora artykułu „o polskim ruchu militarnym“, który w miesięczniku „Krytyka“ stanowisko to nasze wyraźnie podkreślił.

O komunikacie Związku tyle tylko powiedzieć można, że nie wydała go uprawniona do tego komenda S. D. S. lub choćby Wydział Związku, lecz

SZWAJCAR O POWSTANIU POLSKIEM w r. 1863.

Podał B. Wydląka.

S t a n o w i s k a i z a r z ą d z e n i a d o p o t y c z k i. Obiór stanowisk i sposób ustawiania się do potyczki, były bardzo proste. W przeważnej części kraj lasu był zazwyczaj podstawą stanowiska. Przy tego rodzaju stanowiskach, zważano na dogodność, kształt lasu i zadrzewienia, ilość dróg, wód, bagien, mostków, zabudowań i t. p. wyzyskując wszystkie dogodne dane do zamiarów i rodzajów potyczki. Stanowiska te wyzyskiwano odnośnie do tego, czy natarcia ze strony wroga wyczekiwano, czy go do walki powodowano, czy chcąc go przerazić, niespodzianie się nań rzucano lub też wciągano go w zasadzkę.

Ustawienie do potyczki jest proste. Karabinierzy rozwinięci w łańcuch strzelecki, tworzyli pierwszą linię. Strzelcy ustawiani w miejscu skąd ich niedaleko sięgający ogień mógł mieć dobry skutek. Byli oni używani do strzału na nieznaczne odległości. Kosynierzy zwarci, zazwyczaj ukryci, w drugiej linii. Jazda do oskrzydlania lub po skrzydłach. Głównym celem potyczek, to ubicie nieprzyjacielowi więcej ludzi aniżeli się samemu straciło, lub zmęczenie go.

Większe potyczki zdarzają się bardzo rzadko i jak Erlachowi sami naczelnicy mówili, choćby kilkanaście miesięcy wśród nich pozostał, nie zobaczy ich. — Zato do mniejszych potyczek stawiano się często w pogotowiu i tu, lub ówdzie, co kilkanaście dni dochodzi do rzeczywistej potyczki. Z bardzo małymi wyjątkami, jak się o tem przez porównanie przekonał, bywały wszystkie potyczki, nawet małe, ogłaszane w gazetach. Nie przytaczając szczegółowych opisów zarządzeń do potyczki podanych przez autora, nadmienić jednak należy jego opinię o zarządzeniach Krysińskiego. W dniu 6 czerwca 1863 r. manewrował Krysiński cały dzień tak zdolnie, że Moskale mimo przeważającej siły nie odważyli się go zaczepić i uszli wkońcu. O tym to dniu i zarządzeniach mówi autor: rozmaite stanowiska, jakoteż i ruchy oddziału, w tym dniu świadczą bardzo dobrze o przezorności, zdolności i zmyślności wodza, jak też o wyrobieniu i pewności poszczególnych części oddziału. I chociaż przy tem wszystkiem nie padł ani strzał, uważam to działanie za najbardziej udałe ze wszystkich wypadków małej albo partyzanckiej wojny. Szło tu wszystko tak pewnie, szybko, składnie, we wzorowym porządku, jak z płatka; wreszczcie wspomnienie, zręcznego wymknięcia się z zagrożonego obozu, potęgowało zadowolenie wzniośle przeżytego dnia w wojnie.

P o t y c z k i. Krysińskiego starcie w odwrocie. Pewnego dnia, po spożyciu wieczornej zupy, stanął cały oddział w gotowości do nocnego pochodu. — Wozy zwrócone w stronę wyjazdu, stanęły na leśnej drodze, gdy w tem z tej strony nadbiegła wiadomość o następującym nieprzyjacielu. Natychmiast wysłano przeciw nieprzyjacielowi oddział stanowiący dotychczasową osłonę wozów, składający się z piętnastu jeźdźców i około dwudziestu mniej doborowych strzelców. Lekarz z dubeltówką w ręce objął dowództwo nad tym oddziałem, z którym się też Erlach udał. Jeźdźcami dowodził podoficer; za nimi zdążali strzelcy biegiem drogą wyjazdową przez las. Gdy z rzedniejącego lasu widniały już przyległe pola, lekarz rozkazał strzelcom rozwinąć się w łańcuch po obu stronach drogi czołem ku wyjazdowi i podbiedz aż na kraj lasu, sam jednak zawrócił pozostawiając ludzi bez dowództwa. W opłakanym porządku poruszało się to teraz naprzód. Nim na kraj lasu zdążyli, przywitały ich już strzały nieprzyjacielskie, z drogi

tylko Przewodnictwo, a więc doraźny organ administracyjny — i gdyby nie podpis prezesa dra Fiszera, nie dziwiłby nas zupełnie ten dziwoląg swą bałamutną treścią, gdyż współpodpisany przyzwyczaił nas trochę do różnych niewczesnych wystąpień, powodujących w Sokolstwie czasem rozterkę i nieporozumienie. Wynikały one i wynikają niewątpliwie zawsze z dobrej woli, ale ciasne i jednostronne ujęcie sprawy pod pewnym tylko politycznym czy dziennikarskim kątem widzenia, szkodzi nieraz więcej, niż pomaga i mogłoby słusznie usprawiedliwiać żądanie, aby na stanowisku sekretarza Związku nie eksponowano jednostki, która Wydziałowi nadaje, pozornie przynajmniej, jednostronne i niewłaściwe zabarwienie.

Tyle o błędzie z naszej strony. Inna rzecz, gdy się takie formalne usterki wykorzystuje, stawiając pod pręgierz całe Sokolstwo, gdy się rzuca ustawiczne inwektywy na jego „warcholsko-endecką robotę“ (naturalnie zawsze endecką!), gdy się puszcza w świat takie śmiałe i na nieświadomość ludzi obliczone paradoksy, że Sokolstwo „rozbija jednolitość akcyi wojskowej społeczeństwa, tworząc własne sokole drużyny“, skoro to sokolstwo rozpoczęło tworzyć drużyny na trzy lata przed wypadkami bałkańskimi, gdy jeszcze ani się śniło o ruchu strzeleckim, gdy u Sokolstwa jest to wynikiem 50-letniej jego pracy w kierunku fizycznego i niepodległościowego odrodzenia narodu. To już perfidya posunięta zbyt daleko. Tak nie wolno mówić, zwłaszcze dziennikowi krakowskiemu („Naprzód“), który wie, że stosunki między Sokołem a Drużynami są tu jak najlepsze, że nikt tu nie stoi na stanowisku ekskluzywnem, ale przeważnie dąży się do skupienia i porozumienia.

To też tem bardziej boli nas skwapliwość Drużyn strzeleckich, z jaką ów wspomniany list otwarty starały się rozrzucić po wszystkich skrzynkach listowych i tę zbyt gorącą pochopność musimy z całą stanowczością wytknąć.

Pozwólcie nam pracować jak i gdzie możemy, sami zaś pracujcie w sferach, dokąd wasza działalność dotrzeć może, a na zarzut ekskluzywności, przypisywanej Sokolstwu, nie odpowiadajcie usiłowaniem stworzenia monopolu tylko dla siebie lub swej partyi politycznej. „Raum für alle hat die Erde“. Dla pracy, jaką sobie zakreśliliśmy, dość jest miejsca w kraju i dla nas i dla was. Więcej dobrej woli i dobrej chęci, a porozumienie i zrozumienienie wzajemne nastąpić musi i nastąpi, boć przecież do jednego dążymy celu.

E. Kubalski.

---

na kilkaset kroków od lasu oddalonej, na której się nieprzyjaciel usadowił. Na kraju lasu przystanął łańcuch strzelców i jeźdźców, odpowiadając oszczędnie i gospodarnie na żwawy ogień blisko 50—60 rozstrzelonych w przydrożnym rowie nieprzyjacielskich jeźdźców.

Jakiś czas z początku wątpili nasi towarzysze w to, byśmy zamiast nieprzyjaciela, nie mieli przed sobą „naszych“. — Wówczas jeden z jeźdźców, ubrany w staro-polski strój (granat z amarantem), dla sprawdzenia tego, wyjechał całkiem swobodnie około dziesięć kroków z lasu w pole, przystanąwszy spokojnie, jak tarcza, właściwie znak rozpoznawczy. W tej chwili gwizdło koło niego co najmniej z tuzin pocisków. On zaśmiawszy się i zawróciwszy koniem w las, krzyknął: „Nie nasi! Kozaki“!

Polacy ukrywszy się poza drzewami, strzelając wolno odpowiadali na żwawą nieszkodliwą strzelaninę nieprzyjaciela, i, o ile mnie się zdaje, kilku z nieprzyjaciół trafiono. W międzyczasie, ukazało się na prawo od drogi, nieco nieprzyjacielskiej piechoty, która, jak się zdaje, zwabiona naszym ogniem, rozpuszczając 40—50 ludzi w łańcuch, rozpoczęła przeciw nam żwawą strzelaninę. Na lewo, przy widniejącej w dali wiosce, posłyszeliśmy krzyk „hura“! który zdawał się pochodzić od lasu. I rzeczywiście było to natarcie oddziału jazdy Krysińskiego, który wyparł nieprzyjacielskich dragonów z wioski bez żadnej straty prócz cięcia w szczękę, które odniósł jeden z oddziału Krysińskiego. Oddział strzelców, któremu towarzyszyłem, mógł stać w obopólnej strzelaninie około pół godziny, gdy zaczęło zmierzchać. Wówczas uznali tak podoficerowie, jak i żołnierze, że wozy miały już dość czasu zawrócić i udać się w bezpieczne miejsce. — Nie nacierani z bliska przez nieprzyjaciela zaprzestali strzelać, a mając go jakiś czas na oku i widząc, że się naprzód nie posuwa — rozpoczęli odwrót. W tej chwili, zwarty oddział nieprzyjacielskiej piechoty (około 100 ludzi) oddał słabej garstce Polaków cześć, śląc za nią dwie salwy i tym razem bez żadnego skutku, prócz chyba, wzorowo jednostajnego huku, rozmaitego świegotu kul wzbijających kurz i trzaskających gałęzie. Po pewnym czasie ustępująca garstka zatrzymała się nasłuchując, to przyłożywszy ucho do ziemi, to zwyczajnie. Zdawało się, że wróg nie ściga. Miejsce, gdzie stały były wozy, było już puste. Opodal w dole, na bagnie, słychać było głosy Polaków. Byli to właśnie „pontonierzy“, którzy ostatnie drzewo z mostu, poprzez płynący przez bagno potok, na przeciwną stronę przeciągali i nim przejazd zagradzali. Z tej samej strony wyskakiwał, wrzynając się w bagno, dość stromy lasem pokryty pagórek, z którego widoczne było całe bagno. — Na tym pagórku stała silna placówka niezaczepiona przez nieprzyjaciela. Po przez bagno prowadziła ścieżka w głąb lasu, w którym w oddaleniu około 1000^{x} od pagórka, obrano miejsce na obóz. Strzelcy zakrywający odwrót, skorzystawszy z tej wysyłki zaglądli do pobliskiej wioski, skąd dopiero nadranem powrócili do obozu.

W tego rodzaju potyczkach, widział Erlach, jak niewielu strzelców Polaków, zaledwie na miano chłopców zasługujących, uzbrojonych w najgorszego gatunku strzelby, zmuszało często cztero-do pięciokrotnie większą siłę nieprzyjacielską do tak znacznego trwonienia prochu, ołowiu, pistonów, wszelkiego nakładu sił i osięgało szczęśliwie swój cel: zakrycie odwrotu całego oddziału.

Tego rodzaju czynu, tak nieznaczny oddział, dokonać potrafi tylko w własnym kraju, przeciw obcemu najezdnikowi.

DORAŹNY ZLOT KRAJOWY 1913.

Myliliśmy się poniekąd żywiąc obawę o losy tegorocznego zlotu. Obawialiśmy się w pierwszej linii, czy najliczniejszy, ale najdalej od miejsca zlotu położony Okręg I. nie stawi się najszczuplej, czy Okręg ten, złożony co prawda z 60 gniazd, ale nieposażnych, położonych przeważnie w dystryktach robotniczych, nie przedstawi się ubożuchno, źle ubrany, pstrokaty zbieraniną stroju, jaka jeszcze na ostatnich, przedzlotowych, ćwiczeniach dzielnicowych przeważała.

Do obawy o los własny przyłączało się mniemanie, pewien niepokój, czy zlot ten nie jest przedwczesny, czy okres ewolucyi, dokonywanej w Sokolstwie, nie był zbyt krótki, czy to bez mała półrocze wystarczyło naszym zastępom do zerwania z całym szeregiem naleciałości, do otrząśnięcia się ze skutków zastoju i z tego, zrozumiałego zresztą poczucia zasługi, do którego upoważnia kilkudziesięcioletnia, owocna praca w społeczeństwie.

Pierwsza część tych obaw, wprost okręgowych, zaczęła odpadać już w Krakowie, w dniu 5. lipca, w miarę jak **do zbiórki w Sokolni krakowskiej** gromadzić się jęły gniazda dalsze, od południa i zachodu. Wejście Sokoła nowotarskiego, zasilonego drużyną podhalańską, na krakowskie boisko, dało zgromadzonym już sposobność do małej ale serdecznej owacyi, poczem nastąpił **wymarsz na dworzec krakowski** hufców, na jakie Okręg nasz został podzielony, na razie jednak przy zatrzymaniu odrębności gniazd.

Muzyka gniazda krakowskiego, tym razem jako muzyka okręgowa, odprowadzała na kolej drużyny, podzielone na dwie grupy, stosownie do dwóch przygotowanych specyalnych pociągów. Na tem miejscu winniśmy gorące podziękowanie Krakowskiej Dyrekcyi kolejowej, która nader życzliwemi zarządzeniami ułatwiła nam całą pracę. Prócz tego sprawy kolejowe przyjęła na siebie osobna komisya, wywiązując się z tego zadania ku ogólnemu zadowoleniu, wagonów było bowiem poddostatkiem, a nadto były one czyste, częściowo zupełnie nowe. Komisya ta podziela też w części zasługę, że wagonowanie grup liczących po paręset ludzi, odbyło się bez żadnych przeszkód i zamieszania, w sposób budzący szacunek u zgromadzonej licznie publiczności.

Pierwszy wyruszył w drogę o godz. 3·30 hufiec XIV. pod dowództwem d. Bałuta i część XII-go, pozostającego pod rozkazami d. Bursztyna. W pół godziny potem zjawił się na dworcu, odprowadzony przez liczne grono pań, hufiec XIII. oddany komendzie d. Rucińskiego i reszta hufca XII-go. Wagonowanie tej drugiej grupy trwało, z zegarkiem w ręce, zaledwie cztery minuty.

Komenda Okręgu pełniła czynności w obydwu pociągach, wydając w czasie drogi rozkazy rozdziału na drużyny i kompletowanie hufców, już według ostatnio złożonych raportów poszczególnych gniazd i przy autentycznie wiadomej liczbie uczestników. Ten dział pracy przyjęła na siebie Okręgowa komenda S. D. S., skutek zaś tych zarządzeń wykazał się dosadnio, gdy nastąpił

wjazd na dworzec Lwów-Podzamcze.

Najsprawniejszy żołnierz nie zachowałby się karniej i poprawniej od drużyn I-go Okręgu przy opuszczaniu pociągu, sformowaniu się i wymarszu.

Pochwały zato, wyrażonej przez obecnego na dworcu Sekretarza Wydziału Związku D. Biegi, mało kto z przybyłych mógł słyszeć a mimo to zachowanie się dalsze nie tylko nie straciło nic na wykazanej tężyźnie, ale potęgowało się, w miarę napotykanych trudności.

A trudności tych i przykrości było bez liku od samego wstępu na ziemię lwowską. Aura jakby się uwzięła, zionęła zimnem i wilgocią. O jakimś ciepłym posiłku w małej restauracyjce kolejowej trudno było i myśleć, toteż zaledwie garstka z drugiego pociągu, nadeszłego według programu o godz. 2 w nocy, mogła nabrać w manierki coś w guście herbaty gorącej.

Wobec ulewnego deszczu wstrzymano bezpośredni wymarsz na plac zboru, pozwalając na postój w sąsiednich gmachach, przeważnie szkołach.

Szybko opuszczaliśmy dworzec, bo tuż po nas nadjeżdżały drużyny inne już w nieprzerwanym ciągu, o ile nie nadjechały jeszcze poprzedniego wieczora, jak gniazda Okręgu lwowskiego.

Przy pierwszych brzaskach ponurego poranku wprowadzono nas w mury szkoły św. Marcina, lecz panujące tu przepełnienie sal i korytarzy zniewoliły dowódzców Okręgu I do wyprowadzenia swych hufców na podwórze szkolne, zwłaszcza, że deszcz zdawał się folgować. Zaledwie atoli hufce się ustawiły, ponowiły się fale deszczu, nieustępującego już aż do godziny 6-tej rano.

Czy to umieszczenie drużyn na deszczu i na tak długi czas było odpowiednie, podajemy pod rozwagę kompetentnych czynników. W postanowieniach zlotowych powinno się bowiem przewidzieć wszystkie ewentualności.

Mimo tych niekorzystnych warunków, nikomu nawet na myśl nie przyszło zdjąć peleryny z tornistra i okryć się, każdej bowiem chwili mógł nastąpić rozkaz do pochodu. Tak przeszły dwie godziny, aż o godz. 5-tej rozległ się sygnał, oznaczający

wymarsz na miejsce zboru.

Westchnienie ulgi wyrwało się mimowoli z tysiąca piersi, bo chociaż deszcz prażył dalej, to jednak ruch marszu chronił od zupełnego zziębnięcia.

Pół godziny mniej więcej trwało to przejście na wzgórze zamarstynowskie, ale te pół godziny pozostanie długo w pamięci uczestników. O błocie na na t. zw. drodze wiodącej z Hołoska do Zboisk mają pojęcie chyba tylko mieszkańcy ziemi proszowskiej lub podolskich wertepów w czasie wiosennego roztopu. Ale i to przebyliśmy i stanęli na szczycie wzgórza, na północ od Zamarstynowa, kilka kroków od wspomnianego traktu. Zdołałem zauważyć, że byliśmy jedyni, stawiający się w liczbie trzech hufców w tak poprawnym ordynku — na przodzie muzyka, następnie w czwórki wyciągnięte hufce a na tyle furgony z rekwizytami lekarzy. Nie wiem jakie były rozkazy głównej komendy co do pochodu na miejsce ćwiczeń, ale inne okręgi nie starały się zachować możliwego porządku swych szyków bojowych. Gdy tak coraz nowe zastępy drapały się na oślizgłe wzgórze, plutonami, drużynami lub w grupkach pojedynczych Gniazd, wykończono na szczycie ołtarz.

Oddział konny Gniazda Lwów III, odziany praktycznie w brunatne impregnowane płaszcze, z karabinkami na ramieniu, uwijał się dziarsko wśród ustawiających się hufców, odbierał raporty, aż wreszcie z uderzeniem godz. 6-tej, głównodowodzący druh Haller, w otoczeniu swej świty zdaje z konia sędziemu prezesowi Związku, druhowi Fiszerowi, raport generalny: 6600 pieszych, 56 konnych, 860 skautów.

W tej chwili słychać głos dzwonka i ks. kanonik Dzjędzielewicz przystępuje do sprawowania **polowej mszy św.** Asystuje kapelan sokoli, Kapucyn ksiądz Anioł; do mszy służy dwóch małych skautów. Ustaje deszcz, rozjaśnia się niebo a oczom tysięcy Sokolstwa, zgromadzonego z całego kraju odsłania się wspaniała panorama Lwiego grodu, utulonego jeszcze w słodkim śnie.

Rozlegają się dźwięki muzyki; to orkiestra ochotniczej straży pożarnej, przybrana na wzór ułanów polskich, wykonuje szereg utworów o motywach polskich. Znakomity chór Gniazda Lwów II. przeplata śpiewem utwory muzyczne.

Msza św. skończona. Rozkaz Prezesa Związku wzywa do rozpoczęcia ćwiczeń; rozkaz otrzymują brygady, hufce i drużyny. W lot rozsypują się one w różnych kierunkach olbrzymiej, pochyłej równi, rozciągającej się po drugiej stronie wzgórza, na którem tylko co przeżyliśmy tak piękną chwilę.

Ćwiczenia polne

miały założenie następujące: Wojska nieprzyjacielskie idąc od Krystynopola, dotarły do Żółkwi, większy zaś ich oddział posunął się aż do Mierzwicy i Kulikowa. Ów oddział nieprzyjacielski markuje 300 skautów o czerwonych odznakach na kapeluszach. Oczywista nie widzimy ich, małe smugi dymu markowanych strzałów armatnich zdradzają ich obecność gdzieś tam aż na horyzoncie. Nawiasem mówiąc, dzielni ci chłopcy spędzili całą noc na dworze, założywszy bardzo prymitywny obóz.

Zadaniem dywizyi sokolej staje się więc: odeprzeć atak nieprzyjaciela, oskrzydlić go i ubezwładnić. Do opisania taktycznego przeprowadzenia tego zasadniczego zadania nie mam możności. Szczegółów taktycznych sprawozdawcom nie udzielono i o wytłumaczenie sprawozdawcom rozwoju akcyi „sztab“ się nie troszczył i może nie był w możności tego dokonać, telefonu polowego bowiem nie było a t. zw. telefon skautowy na to nie wystarczał. Na posiedzenie „rozjemców“ — czy byli jacy w ogóle? — sprawozdawcy nie zaproszono, złośliwość tylko zapewne podawała informacyę, że rozkazodawcy — a zarazem twórcy planu ćwiczeń — stwierdzili podczas omówienia końcowego, że zadanie taktyczne zostało rozwiązane „summa cum laude“.

Zgadzamy się nawet na taki sąd, z obowiązku jednak sprawozdawcy notujemy głosy ludzi fachowych, jakie padały w czasie rozwoju ćwiczeń, widocznych z naszego wzniesienia. Łączyły się one w opinii, że rozsypanie się drużyn po olbrzymiej równinie było bardzo efektowne, jedyne w swoim rodzaju, że ruchy hufców, drużyn i plutonów były nadzwyczaj poprawne, że rozsypywanie się w tyralierkę i ściąganie oddziałów było nad wyraz precyzyjne, że służba wywiadowcza funkcyonowała z rzadką sprawnością, że wreszcie kolumny oskrzydlające pracowały z wytężeniem, na które nawet żołnierz regularny w tym rozmiękłym terenie możeby się nie był zdobył, — ale, że gdyby nieprzyjaciel mógł zagrać kilku armatami lub bodaj karabinami maszynowymi ze swej pozycyi, to z dywizyi sokolej cała noga by nie uszła.

Wszystkiemu temu nie umiemy przeciwstawić głosu miarodajnego, bo o istnieniu takiego nie wiemy. Nie wiem, kto brał udział w wypracowaniu planu taktycznego, wiem natomiast, że wśród najwyższych dowódców znajdowała się jednostka, daleka od spokojnej rozwagi — jaka członków sztabu cechować winna. Czy bowiem znalazłby się gdzieindziej dowódzca, któryby w chwili rozpoczęcia walki był na tyle nieprzezorny, by jednego z komenderujących weteranów, najniepotrzebniej w świecie, skonsternować bezprzykładnie.

W dodatku, owym nadużywającym swej chwilowej władzy był pan, o którym przed kilku miesiącami nikt z Sokolstwa nie słyszał, zelżonym zaś nietylko komendant i weteran sokoli, ale jeden z wybitnych członków Związku, mąż w Sokolstwie zasłużony i czczony w jego szeregach tak w kraju jak i daleko za jego granicami. Przykre to zajście przyjęły co prawda z oburzeniem czynniki kierujące naszego Sokolstwa, jest jednak naszym obowiązkiem nietakt ten napiętnować na tem miejscu, bodaj ze

względu na setki członków naszego Okręgu, świadków tego mało rycerskiego postąpienia.

O godz. 11-ej nastąpiło odtrąbienie i zbiórka, poczem nakazano powrót do miasta, gdzie miała się obyć

defilada

przed Starszyzną sokolą, zgromadzoną przy pomniku Fredry. Na ulicach Lwowa było rojno. Ludność wyległa licznie, by asystować przemarszowi Sokolstwa, chociaż to widok niby znany. Okazało się jednak, że widok to był nowy, dotąd niewidziany. Po przejściu zastępu honorowego prezesów, ukazały się oczom zgromadzonych drużyny, nie paradne, jak bywało dotychczas, nie świecące i świętalnie wystrojone, lecz okryte błotem od stóp do głów, w „pełnym rynsztunku“, zmordowane nieprzespaną nocą, trudnem ćwiczeniem i kilkukilometrowym marszem, a mimo to, z okiem świecącem zadowoleniem wewnętrznem ze spełnionego, a dobrowolnie przyjętego obowiązku.

Przeważał modry kolor stałych drużyn sokolich, przerywany barwnymi pasami dotychczasowego stroju uroczystego. Mile witano Drużyny Bartoszowe, przybrane bądź to w białe świtki, bądź w granatowe kurty jak Grząskowiacy, bądź wreszcie bodaj w jednolite kapelusze. Doborowym rynsztunkiem odznaczał się Okręg VII — Stanisławów-Belweder, o tornistrach brunatnych i Okręg I. o tornistrach barwy stroju.

Z entuzyazmem witano skautów, zwłaszcza „czerwonych“, dzielnych choć „zwyciężonych“ i oddziały konne. Za hufcami ciągnął długi szereg furgonów, niezbyt zajętych przez maruderów.

Niemilknące oklaski zbierali Podhalanie w swych uroczych strojach góralskich.

Drużyny zdążały

do obozu,

jak szumnie zapowiedziano. Pożal się Boże. Były to łąki na placu powystawonym, mokre snać z natury jak pouczały liczne rowy, obecnie wprost bagniste. Co obchodziło jednak bagno zmęczonych nad wyraz druhów. Kładł się każdy, gdzie padło; podkładał co miał i jeźli co miał, dając przygrzać się trochę słońcu, co litosnem okiem wyjrzało na przemoczoną do nitki brać. Lecz odpoczynek trwał ledwo parę minut. „**Zielone naszywki**“ — srodzy plutonowi, biegają od jednego do drugiego i ciągną za rękaw: „posilić się, oczyścić i gotować do ćwiczeń próbnych“.

Wnet więc troki i jaki taki posiłek były w robocie, wnet też zachlupotało w rowach obozowych od mycia obuwia. Ten i ów stara się suszyć przemoczone ubranie, lecz już grzmią sygnały. Maruderów zostaje sporo, praca lekarzy wzmaga się. Temu przecinają „bomble“ na nogach, owemu bandażują obtarcie, tam niosą omdlałego na noszach, na ogół jednak postawa dzielna.

Maszerujemy do ćwiczeń próbnych. Ba, wprawdzie to zlot „doraźny“, ale ćwiczenia umiemy dobrze. Uczą nas nowego sposobu ustawiania się. Uczących za mało, zmęczenie nie pozwala skupić myśli, rzecz idzie opornie. Czas mija, wreszcie dano za wygraną, idziemy, ba, biegniemy przez rowy i szosę **do ćwiczeń, na boisko główne.** Czwórki czy ósemki gubią się; chwytamy się za ręce, „wyższe siły“ rozrywają nas, biegniemy jak stado.

Sądziłem, że maszerując tak a raczej pogubiwszy się tak w tem niebywałem przejściu na boisko, zatrzymamy się bodaj u bram jego, zbierzemy, chwycimy krok, dokonamy gimnastycznego wejścia. (C. d. n.)

UWAGI UCZESTNIKA O ZLOCIE WE LWOWIE.

Jako dawny oficer zawodowy a obecnie członek polowej drużyny krakowskiej, a więc człowiek poniekąd fachowy, który przeszedł niejedno — stwierdzam, iż żadna, nawet najlepiej wyćwiczona armia regularna, nie zniosłaby tych trudów i w takich warunkach nie dokazałaby absolutnie tego, co dokazały dzieci i ludzie starsi spracowani, tak, że się dziś po przejściu tych trudów wierzyć samemu sobie niechce i wprost snem się wydaje to, na co oczy patrzały.

Przedewszystkiem na niemałe trudy wystawiony był okręg krakowski, a zwłaszcza krakowska drużyna polowa, licząca 100 ludzi, która wsiadłszy o 4-tej godzinie po południu w sobotę w Krakowie do pociągu, bez snu i jedzenia przybyła o drugiej w nocy na stacyę Lwów-Podzamcze. Po opuszczeniu wagonów i sformowaniu kolumny pochodowej z precyzyą i sprawnością wojska, udała się drużyna wśród strumieniami lejącego deszczu na podwórze Szkoły św. Marcina. Tam bez dachu nad głową, bez żadnego odpoczynku staliśmy w szeregach do godziny 4·30 rano (niektóre okręgi były przynajmniej pod dachem) poczem wyprowadzono nas przez nie do przebycia błota i torfowiska po kolana w błotach i wodzie wśród ciągle lejącego strumieniami deszczu na błonia zamarstynowskie o 4 klm. od Lwowa, gdzie odbyła się Msza polowa. Ludzie trzęśli się ze zimna i szczękali zębami, kilku dostało ataków febry, jednakowoż żaden nie zaszemrał, żaden nie wystąpił z szeregu. Po mszy — bitwa. Wśród błota i potoków deszczu, zrobiliśmy w pełnym rynsztunku bojowym, przeziębli i przemoknięci do nitki, bez jedzenia i chwili spoczynku, z wyładowanemi po wojskowemu tornistrach 43 klm. marszu — a jednak podczas marszu przez Lwów, gdy muzyka zagrała, a nasz kochany naczelnik dał rozkaz, drużyna od stóp do głów okryta błotem i sponiewierana wykonała taką defiladę, że rozentuzyowana publiczność krzyczała z serca: niech

żyje Kraków! a chorążego obsypała kwiatami. Chorąży, druh Rysiewicz, człowiek 50-kilkoletni, zasługuje przedewszystkiem na uznanie. Cały czas stał razem z nami na deszczu, na chwilę nie wyszedł z szeregu, odbył cały marsz z rozwiniętym sztandarem i z rąk go nie wypuścił. Pochód na miejsce obozu za rogatką stryjską był już istotnym trudem, a jednak nikt nie ustał, nikt na chwilę kroku nie zmienił. Drużyna krakowska przeszła próbę ogniową z honorem i z należytą wytrzymałością tak, że Kraków dumnym być może ze swych żołnierzy, którzy okazawszy taki hart i taką karność z pewnością w razie potrzeby spełnią swój święty obowiązek. Nie dość było jednak tych trudów — nie koniec tarapatów. Obóz (miejsce spoczynku) mieliśmy, acz z najdalszego zakątka kraju przybyli, w najgorszem może miejscu, powyżej kostek w wodzie tak, że karabiny w kozły ustawione stały po zamki we wodzie. Nawet usiąść nie można było, nawet wody nam nie przygotowano do picia, choć miasto Lwów dało podobno 5.000 koron na koszta przyjęcia i nikt nie uwierzy, że chcąc zdobyć szklankę wody, musieliśmy ją kupować. Po godzinnym postoju w wodzie, mającym być naszym spoczynkiem, nastąpiły publiczne ćwiczenia wolne również w wodzie powyżej kostek; a jednak wypadły one wspaniale, jak również mustra pułku w pełnym rynsztunku i z bronią i również w wodzie i błocie wykonana z taką prezycyą, że i najlepszy pułk wojsk regularnych lepiej chyba nie potrafi, a naostatek defilada, wykonana tak, że woda bryzgała ponad głowy, a rozentuzyazmowana publiczność omal trybun nie zawaliła. W końcu dodam, że mundury do popisu publicznego oczyściliśmy w ten sposób, że się je wsadziło do wody i opłukawszy z błota napowrót wdziało.

Drużyna krakowska, swym jednolitym prawdziwym wojennym rynsztunkiem i bronią, oraz sprawnością i postawą wyróżniała się korzystnie tak, że nawet jeden z komendantów lwowskich z całą otwartością przyznał: Wy, Krakowiacy, musicie zawsze Lwów wziąć i to wam się i tym razem udało. Wprawdzie drużyna lwowska przewyższała nas znacznie liczbą, jednak co do wyekwipowania nie była tak jednolitą. Zasługa to niemała miejscowej naszej komendy.

Zlot doraźny wykazał dowodnie, jakim to nadzwyczajnym materyałem ludzkim rozporządzamy, co potrafi poświęcenie i silna wola i czego my dokazać możemy. Dawny duch rycerski zaczyna się pomału budzić napowrót, a ujęty w karność wojskową i da Bóg — potrafi jeszcze świat cały zadziwić.

Kraków, dnia 7 lipca 1913. r.

Juliusz Ćwierzewicz.

WYCIECZKA SKAUTÓW POLSKICH DO ANGLII.

Z początkiem lipca b. r. odbył się w Birmingham międzynarodowy Zlot skautów, na który zostali zaproszeni i polscy skauci.

Wyjechało z Galicyi 42 skautów i 10 oficerów skautowych. Młodzież pochodziła z następujących szkół średnich: Brody 1, Drohobycz 3, Jasło 2, Kraków 5, Lwów 14, Rzeszów 2, Sanok 2, Nowy Sącz 1, Stryj 1, Surochów 5, Śniatyn 1, Tarnów 2, Trembowla 3.

Po czterodniowym pobycie w Krakowie wyjechała drużyna przez Bogumin do Berlina, potem drogą Essen, Wesel do Holandyi. W porcie Vliessingen oczekiwał skautów polskich osobny delegat skautowy z Anglii. Tam też doręczono im depeszę powitalną angielskiego naczelnictwa skautowego. W Falkestone wysiedli skauci nasi na brzeg angielski i udali się na Londyn do Birmingham.

W parku Perry Hall umieszczono obóz skautowy. Zajęło go 1.000 namiotów mieszkalnych, każdy na 16 osób i wielkie namioty na jadalnie, kuchnie, magazyny, kaplicę, biura, szpitale, kantyny i t. p.

Urządzono tam zarazem wystawę skautową dla okazania zadań, metody i skutków pracy skautowej.

Skauci polscy popisywali się zręcznością w rzemiośle stolarskim i w przeciągu 2 godzin sporządzili ładne mebelki w stylu zakopiańskim, czem zdobyli sobie szczere uznanie Anglika kierującego warstatem. Na estradzie wystawy pokazali oni naszego mazura i śpiewali pieśni polskie.

4. lipca byli nasi skauci na popisach skautów morskich, które urządzono na stawie Edgbaston Resevoir. Program popisów morskich był następujący: a) polowanie na wieloryba, b) zatonięcie okrętu, c) niesienie pomocy tonącym.

5. lipca t. j. w sobotę popołudniu odbyła się ogólna rewia wszystkich skautów pod komendą gen.-lieutn. Herberta Plumera. Wszystkie drużyny ustawiły się w półkole, każda w wyznaczonej dywizyi, których było 7. Pierwszy rząd zajęli skauci królewscy. Polscy skauci stali w drugiej dywizyi na prawem skrzydle.

Przed frontem urządzona była trybuna dla gości, gdzie też pomieszono starszych drużynowych polskich. Obok sztandaru angielskiego umieszczono 3 muzyki. Przegląd skautów odbył książe Arthur Connaught z generałem Baden Povellem.

W następnych popisach zwrócił książę uwagę na musztrę skautów polskich i wyróżnił rozmową prowadzącego, druha Nowaka.

W niedzielę dekorowano orderami zasługi skautów zagranicznych. Po południu odbyła się konferencya drużynowych na temat: 1) Co robić ze starszymi skautami? 2) Jak zapewnić większą liczbę drużynowych? 3) Finanse drużyn. Na tej konferencyi podano do wiadomości przy punkcie pierwszym, że w niektórych drużynach istnieją osobne korpusy starszych skautów (lat 16—18), z których wybiera się asystentów dla drużynowych. Owocem podróży polskich skautów jest powstanie polskiej drużyny skautowej w Londynie. Postawa i zachowanie się skautów naszych były wzorowe i zyskały sobie tak pochwały głównego komendanta jak i sympatyę wszystkich kwatermistrzów. (Według spraw. prof. W. Lewickiego).

UDZIAŁ W ZLOCIE PRASKIM W SPRAWOZDANIACH DWÓCH ZWIĄZKÓW SOKOLICH.

I.

Sprawozdanie W. Z. Sokołów polskich w państwie niemieckiem za rok 1912. „Sokół“, Poznań, 1. czerwca 1913, Nr. 11, str. 98.

„Najwięcej zapewne nakładu pracy kosztowały Wydział Związku przygotowania do Zlotu wszechsłowiańskiego w Pradze, a niemniej do wystawy sokolej, którą obesłaliśmy materyałem dość obfitym. Znane są dostatecznie powody, dla których ostatecznie, mimo własnej chęci, musieliśmy z niemniejszym nakładem pracy w przeddzień wyjazdu wstrzymać telegraficznie gotowe do podróży drużyny, 190 ćwiczących i 88 niećwiczących. I z największem uznaniem podnieść tu należy karność drużyn naszych, które choć z bolem serca wstrzymały się od wyjazdu. Zaledwie kilku druhów nie zastosowało się do wezwania.

Wspomnieć także trzeba o nadzwyczaj trudnem położeniu, w jakiem się Wydział Związku znalazł przed decyzyą: *na obczyźnie agitowano przeciw naszemu udziałowi w Zlocie praskim, a w kraju, zwłaszcza w Okręgu III. burzono się na myśl o możności zaniechania wyjazdu do Pragi.*

Należy mieć nadzieję, że w przyszłości nie znajdziemy się w tak trudnem położeniu, gdyż Zloty słowiańskie będziemy obsyłali. Poza dysonansem praskim utrzymywaliśmy z bratniemi związkami słowiańskiemi stosunki serdeczne, w korespondencyach, dotyczących spraw gimnastycznych“.

II.

XIX. Sprawozdanie W. Z. polskich gimnastycznych Towarzystw sokolich za rok 1911/1912. We Lwowie, 1912, str. 58.

„Stanowisko, jakie zajęli wobec tego protestu (przeciw przyjęciu sokołów rosyjskich do Związku *przyp. red.*) członkowie szerszego Prezydyum, wywołało w sokolstwie naszem nastrój nieprzychylny udziałowi Związku naszego w I. zlocie Związku sokolstwa słowiańskiego w Pradze w r. 1912. Czyniąc więc przygotowania potrzebne do udziału, rozważaliśmy wcześnie możność i konieczność wstrzymania się od udziału, ale gdy zdanie nasze nie utrzymało się wobec reszty sokolstwa polskiego, zaniechaliśmy zamiaru wstrzymania się od udziału w zlocie przez wzgląd na solidarność narodową, aby nie stworzyć dokumentu, że podział polityczny mógłby nam i dusze na części podzielić.

Atoli silniejszem od tego poczucia okazało się w szeregach naszych poczucie krzywdy doznanej przez stronnicze i wykrętne zlekceważenie naszego protestu przez wybrańców Związków sokolich. Poczucie tej krzywdy wzrastało w całej opinii polskiej w miarę zbliżania się terminu zlotu, więc też ulegając tej opinii wyrażonej oficyalnie przez kompetentną instytucyę narodową, cofnęliśmy nasz udział w zlocie do tego stopnia już przygotowany, iż urzędownie aranżowano już pociąg mający nas zawieźć do Pragi, odwołaliśmy się do poczucia solidarności narodowej i sokolej reszty sokolstwa polskiego i — nie zawiedliśmy się na tem poczuciu solidarności!“

ODDZIAŁ KONNY „SOKOŁA“ W KRAKOWIE.

W setną rocznicę śmierci ks. Józefa Poniatowskiego urządza oddział konny „Sokoła“ w Krakowie popis dnia 12-go października 1913 r. na torze wyścigowym w Krakowie. Początek o godzinie 2 i pół popołudniu. Wstęp dla członków oddziałów konnych „Sokoła“ Macierzy we Lwowie i „Sokoła“ w Krakowie za okazaniem odznaki oddziałowej wolny.

Program: I. Defilada połączonych Oddziałów konnych Sokoła-Macierzy we Lwowie i Sokoła w Krakowie. II. Woltyże. III. Oddział konny Sokoła-Macierzy we Lwowie. IV. Zawody: *a)* w jeździe, *b)* w skokach, *c)* jeu de barre. V. Wyścig z przeszkodami. VI. Musztra połączonych oddziałów konnych Sokoła-Macierzy we Lwowie i Sokoła w Krakowie.

Podczas popisu sprawować będą swój urząd: sędziowie, kierownik popisu i starter.

SPRAWY OKRĘGU I.

Z Okręgu.

Okólnik do Gniazd. Zdarzało się niejednokrotnie, że Gniazda zgłaszały się do Okręgu z prośbą o przysłanie prelegenta z odczytem, zaledwie na parę dni przed oznaczonym przez siebie terminem i wskutek tego spotykały się z odmową. W interesie petentów leży, czynić to w terminie możliwie jak najdłuższym, żądania bowiem takie schodzą się bardzo często ze sobą, wyszukanie zaś stosownego prelegenta i przygotowanie się tegoż wymaga pewnego czasu.

Polskie Towarzystwa gimnastyczne „Sokół“ w Bujakowie i Kozach dopełniły już warunków przepisanych i zostały przyjęte do Związku z policzeniem od 1. lipca 1913 r. i przydzieleniem do Okręgu I.

Oddział kolarzy „Sokoła“ żywieckiego urządza tegoroczne główne wyścigi kolarskie w dniach 7. i 8. września b. r. z obszernym programem.

Kurs jazdy na nartach dla sokolich drużyn polowych i skautowych, urządza w czasie od 24. do 30. grudnia b. r. gniazdo sokole w Zakopanem łącznie z Tatrzańskiem Towarzystwem Narciarzy.

Jazda na nartach, najpiękniejszy sport zimowy i do tego w najpiękniejszej okolicy Polski — sama przez się powinna być hasłem i bodźcem do bardzo licznego udziału w kursie. Liczne gniazda sokole jak Nowy Targ, Jordanów, Sucha, Maków, Żywiec, Biała i t. d. i t. d. mają własny interes w tem, aby członków swych gniazd wysłać na ten kurs a potem krzewić ten sport we własnej okolicy, nadającej się znakomicie do tego celu.

Członkowie S. D. S., którzy umieją jeździć na nartach, mogą oddać ważne usługi drużynom polowym w zimie — i w miejscu, gdzie każdy inny sposób szybkiej komunikacyi jest wykluczony. Dlatego komenda okręgu S. D. S. zwraca z całym naciskiem uwagę na ten kurs.

Informacyi udziela naczelnik „Sokoła“ w Zakopanem, druh Karol Pawluś.

Nakładem Wydziału Okręgu I. pol. Tow. gimn. sokolich. — Odpowiedzialny redaktor i wydawca: *Edward Kubalski.*
Czcionkami Krakowskiej Drukarni Nakładowej w Krakowie, pod zarządem A. Nowaka.